

STEFAN GRABIŃSKI

Czad


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN GRABIŃSKI

Czad

Od jarów wypadł nowy tabun poświstów wiatrowych i rozkiełznawszy się szeroko po zaśnieżonych polach, zarył rozwścieczonym łbem po zadmach. Poderwany z miękkiej pościeli śnieg skręcał się w potworne trąby, leje bez dna, śmigłe biczyska i zawinąwszy się stokrotnym wirrem, rozpylał w białą, sypką kurzawę.

Począł zapadać wczesny, zimowy wieczór.

Oślepiająca biel zamieci przybierała z wolna zabarwienie sinawe, perłowa *śrzechoga*¹ horyzontu przechodziła w ponurą czerń. Śnieg paździerzył bez przerwy. Duże, włochate kosmy zesuwały się skądś z góry bezszelestnym

¹*śrzechoga* a. *śrzechoga* (daw.) — odbłask słońca od mgły lub dymu. [przypis edytorski]

ruchem i ścieliły warstwami po ziemi. Piętrzyły się zwiewne kopice, stożyły setne czapy; gdzie mocniej nawiało, pęczniały przepastne zaspy na trzech chłopów z górą, wierszyły się² śnieżne mrowiska, ustępliwe jak puch — wydmuchy; gdzie wichur zawadził gryzącym jęzorem i wymiótł do czysta, przeglądała szczerą³, na grudź zmarzła ziemia.

Powoli wiatr się ukoił i zwinąwszy zdronzone skrzydła, nucił lekliwie gdzieś w debrze⁴. Krajobraz jął się ustalać i krzepnąć w podnocnym przymrozie...

Ożarski brnął niezmordowanie środkiem gościńca. Odziany w ciężką burkę, w grubych do kolan butach, objuczony przyrządami mierniczymi, przebierał się młody inżynier z trudem tylko poprzez zwały śniegu zastępujące mu drogę. Przed dwiema godzinami oddaliwszy się zaledo od towarzyszących mu współpracowników, oślepiiony przez oćmę zgubił się w skrajnym polu i po bezskutecznym krążeniu na wsze

²wierszyć się (neol.) — wznosić się jak szczyt. [przypis edytorski]

³szczerą — prawdziwy; tu: odsłonięty. [przypis edytorski]

⁴debra (daw.) — zarośla, jar, parów. [przypis edytorski]

strony, wreszcie zrezygnowany — ruszył przed się traktem. Teraz na widok szybko zapadającego wieczoru wyteęzał wszystkie siły, by przed zupełnym mrokiem dotrzeć do ludzkich siedzib i zawinąć gdzieś na noc. Lecz gościniec ciągnął się bez przerwy pustym, jałowym szlakiem, nieurozmaicony stronami choćby lichą chatyną, choćby kuźnią przydrożną. Ogarnęło go przykre uczucie osamotnienia. Na chwilę zdjął sperloną potem czapkę futrzaną i wytarłszy wewnątrz chustką, zaczerpnął tchu w zmęczone piersi.

Ruszył dalej. Gościniec z wolna zmieniał bieg i wygięty szerokim łukiem spadał w dół na zachód. Inżynier przebył skręt i minąwszy wystające urwisko, przyspieszonym krokiem zaczął schodzić w dolinę. Wtem, wpiwszy bystrzej w przestrzeń siwe oczy ostrowidza⁵, wydał mimo woli okrzyk radości. Po prawej stronie toczącej się spodem drogi zabłysło mdłe⁶ światelko; był w pobliżu ludzkiej sadyby. Przy-

⁵*ostrowidz* — ryś. [przypis edytorski]

⁶*mdły* (daw.) — słaby. [przypis edytorski]

spieszył kroku i po kwadransie wytężonego chodu stanął przed lichą, zawianą śniegiem zagrodą. Był to rodzaj przydrożnej gospody bez przybudówek, bez stajni, pół dom, pół chata, samotnie nastroszona na zupełnym odludziu. W okrag, jak okiem sięgnąć, ani śladu jakiejś wsi, przysiółka lub osady; tylko parę wichrów spuszczo-nych ze smyczy ujadało wkoło wściekłym skow-
wytem, niby stróże śróddrożnej sadyby...

Zakołatał pięścią w zmurszałe drzwi. Rozwarły się natychmiast i w progu słabo oświe-
tlonej sieni powitał go dziwnie obiecującym
uśmiechem atletycznej postawy siwowłosa męż-
czyzna. Zaparłszy za sobą drzwi wchodowe, Ożar-
ski skłonił się lekko gospodarzowi, poprosił o noc-
leg. Starzec skinął przyjaźnie głową i mierząc
badawczym spojrzeniem zdrową, jędrną postać
młodego człowieka, rzekł głosem, któremu sta-
rał się nadać barwę możliwie łagodną, niemal
pieszczotliwą:

— Będzie, a jakże — będzie gdzie złożyć
jasną głoweńkę. I jedzenia też nie poskąpię, a jak-
że — nakarmię jasnego pana i napoję, a jakże

— napoję. Ino niech jasny pan podejdzie bliżej, ot tu do tej izby; będzie ciepło.

I miękkim, opiekuńczym ruchem objął go w pasie i podprowadził do przymkniętych drzwi od izby. Ożarskiemu ruch ten wydał się zbyt poufały i z chęcią byłby mu się wywinął. Lecz ramię starca trzymało go silnie w pól i rad nie-rad przyjął tę trochę dziwną u oberżysty serdeczność. Gdy z pewnym rodzajem wewnętrznego sprzeciwu przekraczał wysoki próg, nagle potknął się i zachwiawszy się, byłby upadł, gdyby nie skwapliwa pomoc towarzysza, który przytrzymał go i podnosząc jak dziecko w górę na ręce, wniósł go formalnie bez najlżejszego wysiłku do izby. Tu lekko postawiwszy go z powrotem na ziemi, rzekł dziwnie zmienionym głosem:

— No, jakże się jasnemu panu wędrowało w powietrzu? Ale bo jasny pan lekki jak pióro...

Ożarski patrzył osłupiały na siwowłosego olbrzyna, któremu on sam, mężczyzna rośli i silnie zbudowany, wydał się lekki jak pióro. Zaimponował mu swą siłą. Równocześnie jed-

nak nie mógł się obronić szczególnemu wrażeniu niesmaku, jaki wzbudzała w nim niewczesna poufałość i natrętna serdeczność gospodarza. Teraz w blasku prostej kuchennej lampy, zwisającej na sznurze z brudnego pułapu, mógł mu się dokładniej przypatrzeć. Miał może lat siedemdziesiąt, lecz czerstwa, rześka postawa i świeżo złożone dowody niezwykłej w tym wieku siły dziwnie dezorientowały obserwatora. Twarz duża, pokrytą brodawkami, okalały spadające na dwie strony długie, srebrnobiałe włosy, równo ucięte na poziomie żuchwy dolnej. Szczególne były oczy starca. Czarne, o demonicznym połysku, płonęły jakimś dzikim, lubieżnym ogniem. Taki sam wyraz zdradzała twarz szeroka, o silnych, wydatnych szczękach i grubych, zmysłowych wargach. Na Ożarskim zrobił na ogół wrażenie przykre, instynktowo odrażające, lubo⁷ nie mógł się oprzeć pewnemu magnetycznemu wpływowi, jaki wywierały fascynujące oczy.

⁷lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

Tamten tymczasem zakrzętnął się koło wieczerzy. Zdjął z policy⁸ wędzonkę, bochenek razowego chleba, wydobył z drewnianej na zielono pomalowanej szafy gąsiorek gorzałki i postawił na stole przed gościem.

— Niechże jasny pan jedzą. A nie żałować sobie niczego; zaraz *przyniosę* gorącego barszczu.

Tu poklepał go poufale po kolanie i natychmiast przepadł za drzwiami do sąsiedniej komory.

Ożarski, jedząc, rozglądał się po izbie. Była niska, kwadratowa, z odymionym mocno sufitem. W jednym kącie koło okna stało łóżko czy prycza, naprzeciw — rodzaj szynkwasu⁹ z antałkami i beczułką piwa. Było brudno. Od lat nie zdejmowane pajęczyny rozsnuły na powale i węglach szare, nudne przedzie.

— Mordownia — mruknął przez zęby.

Opodal drzwi wchodowych buzował pod kuchnią ogień, powyżej — w czeluści pieca

⁸*polica* — zgrubienie od „półka”. [przypis edytorski]

⁹*szynkwias* (daw.) — bufet w karczmie. [przypis edytorski]

piekarskiego pod obszerną, czworokątną kapą — dogorywały węgle. Ciche dotlewanie żaru zlewało się z parkotem gotującej się na płycie kuchennej strawy w jakąś tajemniczą, pół-senną gawędę, w stłumiony poszept dusznego wnętrza, na tle rozhukanej śnieżycy na dworze.

Skrzypnęło drzwirze od komory i wbrew oczekiwaniom Ożarskiego podbiegła do kuchni niska, krępa dziewczka; odstawiła od ognia duży, kamionkowy sagan i przechyliwszy, wylała jego zawartość w głęboką, glinianą misę. Był barszcz zdrowy, zawiesisty. Dziewka postawiła w milczeniu wonny odwar przed Ożarskim, drugą ręką podając mu wydobytą z szuflady stołu cynową łyżkę. Pochyliła się przy tym tak blisko nad nim, że musnęła mu policzek, niby niechcący, końcem wychylonej swobodnie z koszuli piersi. Inżyniera przeszło mrowie. Pierś była jędrna i młoda.

Dziewka cofnęła się i usiadłszy na ławie tuż obok, bez słowa wlepiła weń spojrzenie dużych, niebieskich, jakby zażawionych oczu. Wyglądała najwyżej na lat dwadzieścia. Złotaworu-

de bujne włosy spadały na plecy w dwóch grubych warkoczach, na szczycie głowy zaczesane gładko, jak u wiejskich piękności. Twarz zresztą dorodną szpeciła podłużna blizna, która poczynając się od połowy czoła, przecinała lewą brew. Bogato rozwinięte piersi, których wcale nie usiłowała zakryć rąbkiem koszuli, miały barwę jasnożółtego marmuru, porośłe lekkim, złotawym puchem. Na piersi prawej widniało znamię w formie małej podkówki.

Podobała mu się. Sięgnął ręką po piersi, które począł pieszczotliwie gładzić. Nie broniła, milcząc.

— Jak ci na imię?

— Makryna.

— Piękne imię. Czy ten tam — to twój ojciec?

I wskazał ruchem ręki na zamkniętą komorę, w której zniknął przed chwilą starzec.

Dziewka uśmiechnęła się zagadkowo.

— Co za ten tam. *Tam teraz nie ma nikogo.*

— Et! Nie wykręcaj się. No — gospodarz, właściciel tej zagrody. Jesteś jego córką czy kochanicą?

— Ni jedno, ni drugie — roześmiała się szerokim, prostym śmiechem.

— Więc tylko dziewczką służebną?

Zachmurzyła się dumnie.

— Ot, co wymyślił. Ja tu sama gospodyni. Ożarski zdumiał się.

— A zatem to twój mąż?

Makryną wstrząsnął powtórnie przeciągły, łaskoczący śmiech.

— Nie zgadłeś, niczyjam ja żona.

— Ale z nim sypiasz, co? Choć on niby stary, lecz jary. Trzem takim jak ja dałby rady. A z oczu skry wciąż sypie. Zuch stary.

Na pąsowych ustach Makryny wił się nieokreślony uśmiech. Trąciła go łokciem:

— Nadtoś ciekaw. Nie — legiwać z nim, nie leguję. Jakżeby też? Przecie ja jestem od niego... — Zacięła się, jakby nie umiejąc znaleźć odpowiedniego wyrażenia lub nie mogąc mu rzeczy należycie wyjaśnić.

Nagle — widocznie chcąc uniknąć dalszych dopytywań, wywinęła mu się ze zbyt już natarczywych rąk i przepadła w komorze.

— Dziwna dziewczyna.

Wypił piąty z rzędu kubek wódki i oparłszy nogi wygodnie o ławę, począł przechylać się wstecz grzbietem krzesła. Ogarnęło go lekkie rozmarzenie. Ciepło silnie rozgrzanej izby, zmęczenie po długiej wędrówce wśród zadymki i gorący napój — usposabiały sennie, rozleniwiająco. Byłby może zasnął, gdyby nie powtórne zjawienie się starego. Gospodarz przyniósł pod pachą dwie butelki wina i napełniwszy kieliszki dla gościa i siebie, przypił do Ożarskiego, mlaskając głośno językiem:

— Przedni maślacz¹⁰. Niech no jasny pan skosztuje. Starszy ode mnie.

Ożarski machinalnie wychylił. Uczuł niby zawrót głowy. Stary patrzył nań gorąco, spod oka:

— Ale bo jasny pan mało pojadł. A przyda się na noc...

¹⁰*maślacz* — gatunek wina węgierskiego. [przypis edytorski]

Inżynier nie rozumiał.

— Na noc? Co to znaczy?

— Nic, no nic — zagadnął zwawo tamten.

— Ale lędźwiaszki ma jasny pan niezgorsze.

I uszczypnął go w udo.

Ożarski odsunął się gwałtownie z krzesłem wstecz, odruchowo szukając w kieszeni nieodstępного podczas dalszych wypraw rewolweru.

Starzec łypnął obłeśnie oczyma i rzekł stłumionym głosem:

— Niech no się jasny pan z krzesła nie zrywa, bo i po co? Ot, zwyczajny żart i tyle. Ja tak ino¹¹ z wielkiej przyjaźni. Dalipan, bardzo polubił. Mamy i tak czasu sporo.

I jakby dla uspokojenia go, cofnął się i oparł plecyma o ścianę.

Inżynier ochłonał. Z umysłu chcąc zwrócić rozmowę na inne, wprost przeciwne tory, zapytał zuchwale:

— Gdzie wasza dziewczka? Czemu się ukrywa za drzwiami? Ot, zamiast tych głupich żar-

¹¹ino (reg.) — tylko. [przypis edytorski]

tów, przyślijcie mi ją tutaj na noc. Zapłacę nie-
źle.

Gospodarz zdawał się nie rozumieć.

— Wybaczy jasny pan, ale ja nie mam żad-
nej dziewczki, a tam *za drzwiami nie ma teraz*
nikogo.

Ożarski, dobrze już podpity, wpadł w wście-
kłość.

— Co ty, stary buhaju, będziesz mi tu plótł
brednie w żywe oczy? Gdzie jest dziewczka, którą
miałem przed chwilą tu, na kolanach? Zawołaj
Makrynę, a sam precz.

Olbrzym nie zmienił spokojnej pozycji pod
ścianą, lecz filuternie uśmiechnięty przypatry-
wał się ciekawie rozgniewanemu mężczyźnie:

— A, Makryna, Makryna się dziś nazywa-
my.

I nie zważając już na rozdrażnianego go-
ścia, ciężkim krokiem odszedł w sąsiednią izbę,
gdzie znikła dziewczka. Ożarski rzucił się za nim,
chcąc się wedrzeć do wnętrza komory, lecz w tej-
że chwili ujrzał wychodzącą z niej Makrynę.

Była tylko w koszuli. Złocistoczerwone jej włosy rozsypały się migotliwą strugą po plecach, igrały rudomosięzną barwą pod światło.

W rękach trzymała trzy kosze napelnione świeżo zaczynionym chlebem. Postawiwszy je na ławie obok kuchni, chwyciła z kąta kociubę¹² i zaczęła wygarniać z pieca żarzące się węgle. Pochylona naprzód ku czarnemu otworowi jej postać wygięła się silnym, jędrnym łukiem, uwydatniając zdrowe, dziewicze kształty.

Ożarski zapamiętał się. Chwycił wpół zgiętą i podniósłszy koszulę, począł okrywać jej różowione od ciepła ciało palącymi pocałunkami.

Makryna, śmiejąc się, nie przeszkadzała. Wygarnąwszy tymczasem dotlałe główne, resztę żaru zostawiła niedbale po krajach, po czym za pomocą ożoga włożonego w wymiotło usunęła i wnętrza zalegający popiół. Lecz namiętne uściski gościa przeszkadzały jej snadź¹³ zbytnio w robocie, gdyż w końcu, oswobadzając

¹²*kociuba* — pogrzebacz. [przypis edytorski]

¹³*snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

się z gorących objęć, zagroziła mu żartobliwie podniesioną w górę łopata. Ożarski na chwilę ustąpił, czekając, aż skończy z chlebami. Jakoż wyrzuciła kolejno wszystkie bochenki z koszów i obsypawszy raz jeszcze mąką, wsadziła do pieca. Z kolei zdjęła zawieszoną obok na sznurze zatulę i zamknęła nią otwór czeluści.

Inżynier drżał z niecierpliwości. Wreszcie widząc, że praca ukończona, postąpił drapieżnym krokiem i ciągnąc ją ku łóżku, usiłował zedrzeć z niej koszulę. Lecz dziewczka broniła się:

— Teraz nie. Za wcześnie. Potem, za jaką godzinę, wedle północy, przyjdę wyjąć chleb. Wtedy mnie będziesz miał. No, puść już, puść! Jak mówię, że przyjdę, to przyjdę. Siłą się wziąć nie dam.

I zręcznym, kocim ruchem wymknąwszy mu się z ramion, prześmigła obok pieca, zaparła w górze wentyl i przepadła w komorze. Chciał wedrzeć się za nią do środka, lecz zaryglowane szybko z wnętrza drzwi nie puściły.

— Szelma! — syknął przez zęby zziajany.
— Lecz o północy nie daruję. Przyjść musisz po chleby! Całą noc ich tam chyba nie zostawisz.

Uspokojony nieco tą oczywistością, zaczął się rozbierać. Sądząc, że nie zaśnie, wolał oczekiwać w łóżku. Zgasił lampę i położył się.

Posłanie było nadspodziewanie wygodne. Wyciągnął się rozkosznie na miękkiej pościeli, podłożył ręce pod głowę i poddał się szczególnemu stanowi przed snem, gdy mózg, zmęczony dzienną pracą, niby śni, niby marzy — jak łódź powierzona wodom przez wioślarza, co znużony opuścił już ręce.

Na dworze huczał wiatr, siepiąc okna śnieżną zamiecią, z dala — od lasów i pól dolaływało zagłuszone wichurą wycie wilków. Tu — było ciepło. Doskonałą ciemność wnętrza rozświetlał tylko słaby żar niedogarków, które Makryna zostawiła po brzegach czeluści; poprzez szpary między zatułą a krajami otworu przeświecały rubinowe oczy węgla, przykuwając wzrok... Inżynier wpatrywał się w dogasają-

cą czerwień i drzemał. Czas dłużył się okropnie. Co chwila otwierał ociężałe powieki i przemagając senność, wlepiał źrenice w błędne ogniki czeluści. W myśli bezładne mieniały się postaci jurnego starca i Makryny, prawem powinowactwa psychicznego zlewając się w jakąś dziwną jedność, w jakiś chimeryczny stop, dokonany na tle wspólnej im lubieży; snuły się bezładnie w oczywistym, choć nieuzasadnionym zestawieniu ich słowa, dziwne zwroty, *koljne na przemian występowania*; wysuwały się z przykrytych komyszy już przedtem wyległe pytania, teraz niedołącznie domagające się wyjaśnień. Wszystko wałęsało się leniwie, zaczepiało w drodze, trącało bezwładne, senliwe a śmieszne...

Jakaś duszność ogromna, wnetliwa brała w posiadanie mózg, panoszyła się w gardle, piersi, jakaś mąca z mora wkradała się cichaczem, niepostrzeżenie, nieunikniona... Wyciągnięta odruchem ręka chciała wstrzymać wroga, lecz spętana opadła z powrotem. Nadeszła ciemność bezwładu...

W jakiejś porze nocy Ożarski jakby ocknął się. Przetarł leniwo oczy, podniósł ciężką głowę i zaczął nadśluchiwać. Zdawało mu się, że sły-
szy szmer w okolicy pieca. Istotnie, po chwili
doszło go stamtąd wyraźne szemranie, jak gdy-
by obsuwających się z komina sadz. Wyteńczył
wzrok, lecz absolutna ciemność nie pozwoliła
zbadać przyczyny.

Wtem przez zamarżłe szyby wdarła się do
wnętrza smuga księżycy i przerznawszy jasnym
pasem środek izby, przypadła zieloną plamą pod
kuchnię.

Inżynier instynktownie skierował oczy w gó-
rę, w kierunku pieca, i zdumiony — ujrzał zwi-
sającą z otworu kapy nad płytą kuchenną parę
nagich, nerwistych łydek. Ożarski, nie zmie-
niając pozycji, z zapartym tchem czekał. Tym-
czasem z wolna, wśród nieustającego szmeru
osypującej się sadzy, wysunęły się kolejno z dym-
nicy potkane golenie, lędźwie szerokie, żylaste,
podbrzusze kobiece o silnych, rozłogich liniach
— w końcu jednym skokiem cała postać wy-
łoniła się z otworu i opuściła na podłogę. Przed

Ożarłkim o parę kroków stała w blaskach księżycy olbrzymia, potworna baba...

Była zupełnie naga, z rozpuszczonymi siwymi kudłami, które spadały jej poniżej ramion. Chociaż, wnosząc z barwy włosów, wyglądała na kobietę starą, ciało zachowało dziwną jędrność i gibkość. Inżynier jak przykuty błądził oczyma po tych dużych, zwartych, jak u dziewczyny, piersiach, po biodrach mocnych i jędrnych, po sprężystych udach. Wiedźma, jakby pragnąc, by się jej lepiej przypatrzył, stała długi czas w strugach miesięcznego światła bez ruchu. Po chwili bez słowa postąpiła parę kroków ku łóżku i zatrzymała się w środku izby. Teraz mógł dokładnie spojrzeć jej w dotąd półmrokiem nocy zakrytą twarz. Spotkał się z płomiennym wejrzeniem dużych, czarnych oczu, dziwnie świecących w okoku pomarszczonych powiek. Lecz najbardziej zdumiał go wyraz twarzy. To oblicze stare, przeorane siecią fałd i zagłębień, jakby dwoiło się. Ożarski wyczuł w nim fizjognomie skądś sobie znane, lecz na razie wypadłe z pamięci. Nagle, uświadomiwszy sobie,

gdzie leży, rozwiązał zawiły enigmat¹⁴: czarownica patrzyła nań podwójną twarzą — gospodarza i Makryny. Wstrętne brodawki, rozrzucone po całej jej powierzchni, nos krogulczy, demoniczne oczy i wiek — należały do lubieżnego starca; płeć jej natomiast bezsprzecznie kobieca, biała blizna od połowy czoła przez brew i specjalne znamię na prawym wymieniu — zdradzały Makrynę.

Oszołomiony odkryciem, nie spuszczał oka z magnetyzujących go oczu wiedźmy.

Ta tymczasem podstąpiła pod samo łóżko i jedną nogę stawiając na jego brzegu, drugą wielkim palcem oparła mu na wargach. Stało się to tak niespodzianie, że nie miał nawet czasu do uchylenia się spod tej ciężkiej, przemożnej stopy. Ogarnęło go uczucie dziwnego strachu. W piersi przytłoczonej ciężarem tłukło się niespokojne serce, usta, przyciśnięte palcem baby, nie mogły wydać okrzyku. Tak minęła w milczeniu długa chwila.

¹⁴*enigmat* — zagadka. [przypis edytorski]

Z wolna megiera, nie zmieniając pozycji nóg, odsunęła kołdrę i zaczęła ściągać zeń bieliznę. Ożarski zrazu usiłował się bronić, lecz czując na sobie ucisk jej i pętający wolę żar jurnych oczu, poddał się z jakąś okropną rozkoszą.

Wiedźma, zauważywszy zaszłą w nim zmianę, usunęła stopę miażdżącą mu wargi i usiadłszy na łóżku, rozpoczęła z nim dzikie, wyuzdane pieśczoty. Po kilku chwilach opanowała go zupełnie: drżał z lubieży. Rozpętana ruja, zwierzęca, niesyta, pierwotna, rozkołysała ich ciała i splotła w tytanicznym uścisku. Lubieżna samica rzuciła się pod niego i kornie, jak młode dziewczę, błagalnym ruchem ud garnąć go jęła w siebie.

Ożarski zaspokoił ją. Wtedy zdało się, że oszalała. Otoczyła go nerwistymi rękoma w pół, oplątała lędźwie muskularnymi nogami i zaczęła ścisnąć w potwornym objęciu. Poczul ból w krzyżach, w piersi.

— Puszczaj! Udusisz!

Okropny uścisk nie zelżał. Zdawało się, zgniecie mu żebra, zdruzgoce klatkę piersiową. Pół-

przytomny, lewą wolną ręką pochwycił ze stołu połyskujący nóż, podsunął jej pod pachę i zatopił... Piekielny dwukrzyk rozdarł ciszę nocy: dziki, zwierzęcy ryk mężczyzny — i ostry, przeszywający jęk kobiety. A potem milczenie, absolutne milczenie...

Odczuł ulgę, węzowe sploty nocnicy rozluźniły się, zwolniały; wzdłuż ciała jakby ośliżnęła się gładka, obła żmija i skwapliwie¹⁵ zsunęła się na ziemię. Nie widział nic, gdyż księżyc skrył się poza chmurą. Tylko głowa ciążyła okropnie, w skroniach pulsowały głośno tętna...

Nagle zerwał się z pośłania i gorączkowo zaczął szukać zapalek. Znalazł, potarł, zapalił stoczek. Nikłe światło rozjaśniło izbę: nie było nikogo.

Pochylił się nad łóżkiem. Pościel zwalana była sadzą, pełna śladów ciała, które się po niej tarzało; na poduszce parę dużych plam krwi. Wtedy spostrzegł, że w lewej ręce ściska kurczowo nóż, zboczony po rękojeść.

¹⁵*skwapliwie* (daw.) — szybko i/lub chętnie. [przypis edytorski]

Ogarnął go nudny zawrót głowy. Słaniając się, podbiegł do okna i otworzył; dołem wpadł mroźny wiew zimowego poranka i uderzył go w twarz — górą wysnuwał się z izby wąskim sznurem zabójczy gaz...

Otrzeźwiał, przypomniał krzyk. Bezwiednie, półodziały, rzucił się z światłem do komory. Stał w progu, zajrzał w głąb i zachnął się.

Na podłodze, na nędznym tapczanie leżały dwa nagie trupy: olbrzymiego starca i Makryny — zbroczone obficie posoką. Oboje mieli tę samą śmiertelną ranę, koło lewej pachy nad sercem...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-czad>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Utwory wybrane*, Tom I: *Nowele*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Justyna Sobecka, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: *Kompozycja fantastyczna*, Stabrowski, Kazimierz (1869-1929), domena publiczna

ISBN 978-83-288-0244-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twórcy i Fundacji Nowoczesna Polska utwór ten jest udostępniany wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska